Rozmaitości

Dnia 7. kwietnia. Nr 14. 1838 roku.

DO MŁODÉJ POLKI.

Z LAMARTINE.

Łabędź wodzi swój obraz w swoich wód jeziorze.
Przeglądają się błyski w swoich własnych szatach,
Niebiosa w oceanie, twórca w swoim tworze,
A my ludzie w przyszłości latach.

W przyszłości jak skło bladéj i chłodnéj, niestety,
Jak północne jeziora w kraju twym ojczystym;
Te błyski i źwierciadła czem są dla poety?
On myśli o śnie wieczystym!

Ale w żyjącém sercu razem odbić siebie,
Ale w oku dziewicy, w którém przyjaźń gości,
Napotkać niespodzianie spojrzenie miłości,
Jak gwiazdę na nocném niebie!

Ale myśléć, śród burzy i skołatań świata,
W jedném jasném światełku co w tym świecie stoi,
Od wzgardy, od potwarzy, która mną pomiata,
Przytułek jest sławie mojéj!

Jest przecie jedno serce, które spiéw mój wzrusza,
Co me tony jak niebo w łonie swém pomieszcza,
Gdzie mój głos się rozbija, promieni się dusza,
Ach, oto nagroda wieszcza!

Ma sława, mój przytułek do twych dni przybity,
I cóż, że nasze spiéwy gubi czas z pośpiechem?
Żyć cichym i nieznanym, a żyć w snach kobiéty,
Jéj serce mienić swém echem;

Czuć jak bije westchnienie co w swéj piersi głuszy,
Przyglądać się nieznacznie łez tajonéj rosie,
Być powiernikiem myśli jak przyjaciel duszy,
Swe imię słyszéć w jéj głosie!

Z nią sam na sam iść w gaje i gdzie zdrój szeleści,
Przeciągać błysk jéj lampy do nocy połowy;
Mićć imię, które kocha i być snem co pieści,
Oto są wieńce méj głowy!

A. T.
(Z Tyg. Pet.)

KAPRYSY KOBIÉCE.

Tad. Bulgarina.

Cóż mi podług zdania waszego podoba się najlepiéj w ładnéj młodéj kobiécie?... Rozum, uprzejmość, dobre serce... Nie prawdaż? Otóż chybiono. Mnie się najlepiéj podobają — *kaprysy!*... Czy masz wćpan rozum! słyszę już jak ze wszystkich stron krzyczą na mnie. Wszakbyto było nieszczęście, udręczenie, męczarnia!... A ja powiadam, nieprawda! Kaprysy kobiéce — to coś zachwycającego... To jak bukiet w winie, *haut goût* w potrawach, jak owa swawolna wytworność w sztukach, jak ów w książkach lub pojedyńczych artykułach połysny dowcip! Tylko proszę nie myśléć, że ja przez kaprysy rozumię złośliwość, upor albo chętkę sprzeczania się. O! to wcale co innego. Jestto ogólném już zdaniem, że w ładnéj panience podoba nam się rozum, uprzejmość i dobroć serca. To zdanie jest piękne. Nie mam nic przeciw temu. Jednakże kaprysy są niczém inném, jak tylko mieszaniną wszystkich tych przymiotów w kształcie romantycznym, t. j: w kształcie *ad libitum*. Kiedy widzimy rozum, uprzejmość i dobre serce zawsze i zawsze w tychże samych ramach przyzwoitości, zawsze w niezmiennie pięknych rozmiarach, natenczas mogą nam wprawdzie takowe przymioty przedstawić piękność posągów Kanowy i Thorwaldsona, albo piękność obrazów Rafała, ale zawsze to wszystko będzie tylko marmur i płótno! W kaprysach zaś — jest życie! W kaprysach rozumu, uprzejmości i dobrego serca — tam coś żyje, trzepioce się, skacze, mówi, spiéwa, śmieje się i płacze, a to rozmaite, coraz inaczéj charakteryzowane życie, jest właśnie to,

co tak nasz rozum i nasze serce ku sobie pociąga. Kaprysy w pięknéj kobiécie igrają miłym urokiem, podobnie promieniom barwistym w tęczy lub światłu słonecznemu po kwiatach.

Zkądże pochodzi nazwa kaprysów? Od Rzymian... Otóż mamy! już się zaczyna perora szkolna. *Qui nous délivrera des Grecs et des Romains!* Ale cóż robić! Skoro tylko mowa o czém doskonałém, trzeba się zaraz, chcąc nie chcąc, udać do Greków lub Rzymian. Jużci temu zapewne niewinni pedanci, że Grecy i Rzymianie wszelki wdzięk w życie wprowadzili, a to właśnie dla tego, że sami pedantami nie byli, i druku nie znali, który pedantyzmowi podaje środki zabijać talent uczonością. Gdyby mię więc i pedantem nazwać miano, muszę rzecz moję począć od Greków i Rzymian. Tak! nie inaczéj, wierzajcie mi kapryśne panie moje, wasz wdzięk pochodzi od Rzymian, jak pochodzą tańce P. Taglioni od Greków, w duchu Terpsychory, Charytyn i Gracyj. Że *capra* po łacinie kozę znaczy, jest wam wiadomo, ale jeżeliście jeszcze nie widzieli natury innéj, jak tylko na Kamennom-Ostrowie, w Perguli lub w Carskom-Siele, tedy nie pojmiecie, gdy wam powiém, że nic w świecie nié ma tyle w sobie wdzięku, ile ma igraszka młodziutkiéj kozy. Na Alpach to, Apeninach lub Pirynejach widzieć trzeba, jak tam zwinnie, ze skały na skałę skaczą młode kozy! a jak są ucieszne!... Każdy posiadacz trzody, każdy pastuszek, każda pastuszka, synowie i córki zagrodników, mają swoje polubienice, to jest: młodziutkie kozulki, z którymi się bawią, które karmią z własnéj dłoni wonném *caprifolium* lub caparowém liściem. Żadna włoska ani hiszpańska piękność, żaden włoski bandyta, ani hiszpański przemytnik nie rozgniewa się oto, gdy ich młoda swawolna koza ubodnie rożkiem lub potrąci raciczką, rozedrze kapelusz przyozdobiony wstążkami, albo wywróci naczynie z mlekiem. Nie ze złego to ona zrobiła serca; to u niéj igraszka, *capriccio*, kaprys. Igraszka bawi, a za co poczciwego osła biją, zato głaszczą kozkę i dają jéj lizać rękę, ba — nie raz i usta. Wszystko to widziałem już dawno, dawno w naturze, i wtedy to pojąłem, co kaprys znaczy, jaka różnica między nim, a złośliwością, uporem i duchem sprzeczności zachodzi. To wszystko jest naganne, ale kaprys bynajmniéj — i owszém, kaprys jest igraszką, rozrywką, ponętą dla serca!

Jestże kto w świecie, coby namiętnie kochał i nawzajem był kochanym, a nie poróżnił się choć raz z kochanką i nie zaprzysiągł się stokroć razy: że ją zapomni, pójdzie w lasy i pustynie, ożeni się na przekor z jéj nieprzyjaciółką i t. d.? I cóż było przyczyną téj waśni? Kaprysy! I cóż sprowadziło pojednanie? Znowu kaprysy! — O naznaczonéj godzinie bieżymy do niéj, w nadziei, że nas powita czułym wzrokiem, miluchnym uśmiechem — aż tu ani spojrzy, albo, jeżeli spojrzy, to tak, iżby lepiéj było, aby nas tego spojrzenia za niegodnych uznała. A całe nieszczęście, że na innego oczkiem rzuciła, do innego się uśmiechnęła, z innym mówiła. Ha! to okropnie — to rzecz do rozpaczy! Taka zniewaga zemsty żąda. Bieżymy do innéj piękności i staramy się, mimo ran w sercu, okazać się tkliwymi, kochania godnymi, a nawet namiętnie kochającymi; ale cóż się dzieje, oto zwracamy wzrok za siebie i czytamy w oczach kochanki — wyrzuty, a na jéj ustach — słodkie zaproszenie. I wszystko już zapomniane! i znowu jesteśmy uradowani i zachwyceni!

Podczas letniego, cichego wieczora przechadzamy się z kochanką po ogrodzie; dusza pragnąca czułych wylań, serce otwarte radości; ale kochanka wzdycha, zaduma sępi jéj lica, a w źrenicach błyszczą łzy. Słucha roztargniona, odpowiada pół-dźwiękami — oddala się i — zostawia cię sam na sam z księżycem! O przeklęte kaprysy! Lecisz do domu, piszesz list rozpaczający, i — odbiérasz nań tak słodką odpowiedź, żeś gotów na nowo tysiąc takich kaprysów przecierpieć. Nakoniec jużeśmy ożenieni. A! winszujemy! Żona ubóstwiona, i ani wątpienia, że kocha swego męża. Tymczasem albo jego nié ma cały dzień w domu, albo żona się nie pokazuje i siedzi przez dzień cały w swym pokoju, skarżąc się na migrenę i ból nerwów. Czasem widać małżeństwo w powozie; on wyziéra lewém, ona prawém oknem. W towarzystwie zdarza się spostrzedz nie raz, że mąż ani razu nie zwróci się ku żonie, i przymila się jakiejś odkwitłej kokietce, podczas gdy żona, uśmiéchając się, słucha andronów jakiegoś modnisia. Nakoniec przychodzi do tego, że mąż pozwala sobie skarżyć

się niekiedy przed zaufanym przyjacielem na żonę swoję: »Luba, dobra jak anioł! ale ma kaprysy.....« I już stare Westalki i litościwe kumy żałują biednych małżonków. Słychać nawet o nieszczęśliwém pożyciu! Ale tak mówi tylko głupota, nie poświęcona w tajnie prawdziwéj i szczeréj miłości. Tak mówią zawistne kapłanki, chcące być sułtankami miłości. Ale proszę mi powiedzieć na sumienie, czy może być coś słodszego w świecie, nad pojednanie po chwilowym kaprysie? nad łzy przebaczenia, nad uśmiech zapomnianych uraz? Raźno ulatuje ognista miłość, ale w czułych, szlachetnych sercach zostawia wieczne, niezatarte po sobie ślady. Temi ślady są wspomnienia. One jedyne rozweselają nasz żywot nudny, materyjalny, jednostajny. Lecz podług ustaw natury, te tylko wspomnienia są dla nas dobroczynne, w których z nieprzyjemnością przyjemność się miesza. Wtedy tylko możemy się nasładzać wspomnieniami swéj miłości, kiedyśmy zaznali kaprysów. Jestto rzecz dziwaczna, ale prawdziwa.

Wszystko w świecie ma *swój czas*, *widok*, *miara* i *waga* mają swe granice. Ładnym, przyjemnym dziewczętom kaprysy pozwolone do piérwszego zmarszczka, a ładnym, przyjemnym kobiétom — do piérwszego dziecięcia. Piérwszym stają się kaprysy na dal szkodliwemi — drugim już niepotrzebne. Czułość macierzyńska zajmuje teraz wszystkie próżne zakątki miłości małżeńskiej, które wprzódy dla równowagi wypadało wypełniać kaprysami.

Co się dotyczé formy kaprysów, są one tylko w *pantomimie* wdziękiem; podobne do tańców panny Taglioni. Każcież jéj śród tańca spiewać albo mówić — a już po uroku! Skoro się kaprysy w słowa zamienią, wtedy już nie są kaprysami, ale złością, swarem, melodramatem! Na wagę mają być tak lekkiemi, jak najcięższe westchnienia kobiéty; a co do miary, to powinien, podług mnie, najdłuższy kaprys nie trwać dłużéj — nad trzy długie pocałunki.

Mężczyznom kaprysy nie tylko że nie są pozwolone, ale owszem jak najsurowiéj zabronione, pod karą konfiskacyi serca na rzecz podstarzałych kokietek, albo młodych, pustych dziewcząt. Mężczyzna niech sobie będzie jak chce surowy, przykry, ale uchowaj Boże! niech kaprysów nié ma; bo inaczéj stanie się więcéj niż nieznośnym, stanie się — śmiesznym. —Ale cóż pozostanie na pociechę owym dobrym, odkwitłym paniom, owym byłym pięknościom, owym dziewczętom o piérwszych zmarszczkach, jeżeli im kaprysy odbierzemy? Ach! pozostanie im prócz tego jeszcze dosyć przyjemności, do których mianowicie i to pozwolenie liczyć należy: że mogą brać młodzież trapiącą się kaprysami za przedmiot — szyderczych uwag swoich.

UŁAMEK
Z POBIEŻNYCH UWAG M. G. SAPHIRA
O DZIEŁACH DRAMATYCZNYCH GÖTEGO I SZYLLERA.

Nieśmiertelność autora zależy od sposobu jakim ją sobie zasłużył. Niemcy mieli tylko jednego prawdziwie dramatycznego poetę, a tym był Szyller. Jeden tylko Szyller umiał w dramatycznych tworach swoich zadowolnić publiczność zupełnie. Wszystkie dramata Götego, acz doskonałe formy nowoczesnego dramatycznego kunsztu, mają tę wadę, iż żaden z bohatérów jego nié ma przed sobą wyraźnie wytkniętego celu, do któregoby wielkiemi środkami i wielką siłą dążąc, albo wielce wszystkie przeszkody zwyciężył, albo złamawszy się z niemi potężnie, wielce pod ich nawałem uległ.

Dla tego, że wszystkie Szyllerowskie charaktery mają cel jasny, oznaczony i dla wszystkich widomy, że z konsekwencyją żywo do zamiaru dążąc, skutecznie działają; dla tego też powszechnie dla wszystkich są miłemi i dla tego, nawet na mniéj estetycznie ukształconym umyśle, wielkie wrażenie czynią.

Wiémy, jaki jest zamiar wszystkich bohatérów Szyllera, lecz prawie nigdy jaki jest bohatérów Götego. Karol Moor chce ulepszyć porządek świata; dziewica Orleańska chce wybawić swoję ojczyznę; Wallensztein usiąść na jednym z tronów europejskich; Poza oswobodzić Niderlandy i ludzkość; Tell uwolnić Szwajcaryję, Ferdynand kochankę i t. d.

Charaktery te muszą się podobać, ponieważ wola ich jest wyraźna, wiedzą czego chcą i ku czemu dążą; a ta ich chęć mocna, ta ich wola żelazna, ten ich zamiar niezachwiejny, są dostatecznémi, aby zajęły wszystkich powszechnie, bo wszyscy widzą metę, do któréj

śród potężnych przeszkód potężnie kroczą; ta siła wielka śród przeszkód wielkich do wielkiego celu, ta potężna walka z potężnym losem, nie tylko ludziom, lecz i bogom miła!

Charaktery Gëtego nie mają żadnego wyraźnego celu; ich zamiarem jest tylko okazać swój charakter, ale o dopięcie celu tego charakteru, bynajmniéj się nie troszczą; chcą one stosunkami świata podług przymiotowości natury swojéj, zawładnąć, ale ponieważ przymiotowość ta dla większéj części widzów jest zagadką, tkaniną zagmatwaną, dla tego też tak łatwo i udziału sobie zjednać nie mogą.

Egmont ma tylko zamiar żyć podług swego sposobu myślenia, i dla tego też ginie li w skutek swego charakteru, nie zaś w skutek c z y n u swego charakteru; jego wola jest n i e j a k a, b y n a j m n i e j d z i a ł a l n a; podobnież *Orani* tylko przez swój charakter ocalonym zostaje. Traiczność ich opiéra się jedynie na tém, że charaktery ich stawią się w czasie takich stosunków, które się z niemi bynajmniéj nie zgadzają; nie jest to więc z woli wywodne, z zamiaru przez następność środków wywiązujące się działanie, lecz jedynie przypadkowy zbieg okoliczności, ściérający się z formami ich charakterów.

Götz z Berlichingen jest obrazem feudalnego rycérstwa; jego charakterem jest jego stan i okoliczność; lecz w około niego odmieniają się i wszystkie stany i wszystkie okoliczności: Rzesza niemiecka, césarz, rycerstwo, świecki i duchowny porządek. Tu znowu tylko zbieg charakteru z odmianą czasu w walce, styczność i krzyżowanie się jednego z drugiém, tworzą osnowę całego zdarzenia. Götz jest zmuszonym koniecznością do działania; lecz ponieważ dla wyświécenia téj konieczności i bodziec czasu wyjawionym być musiał, przeto i całą szérokość i cały aparat czasu przedstawić należało, co tyle miejsca na scenie zabiéra, że już dla samego Götz Berlichynga mało pozostaje. *Klawiga* charakterem, że nié ma żadnego charakteru. Będąc mdléj woli, zamiaru kruchego, musiał zginąć trąciwszy o kształty charakterów mocnych, którémi otoczony. W *Tasonie* nie zajmują nas charaktery, ale ich różność; jednakże różność ta (Taso, Antonio) spoczywa tylko w naturze różnicy ich życia, a nie w różnicy dążenia do celu. I w *Córce Natury* stoi Eugenija nie jak charakter, ale raczéj jako umysł, jako sentyment; nie działa i nie odpiéra, ale czuje i ciérpi.

Po tém pobieżném skréśleniu wróćmyż do Szyllera, do jego bohatérów, przedstawiających niepodzielną jedność charakteru z wolą, siły z podstępem. Zacząwszy od *Filipa* aż do *Hassana*, od *Izabelli* aż do *Tekli*, ód *Pozy* aż do *Mortymera*, wszyscy jego bohatérowie wiedzą o swym zamiarze, wszyscy dążą z wytężoną siłą do osiągnienia swego zamiaru, i tym sposobem stają się bohatérami, za którymi kroczy podziw i chwała!

Na piędzi ziemi, w małéj krainie, dla nieśmiertelnego autora stawią pomniki! Gdzież jest kraj, w którym sam go już sobie nie postawił? Na skalistych górach Szkocyi stoi jego *Makbet*; w mglistym Albionie promieni się uroczo *Maria Stuart*; na polach Hiszpanii idą dwa nieśmiertelne duchy *Pozy* i *Elżbiety*; na równinach Francyi roztacza chorągiew' zbawienia *Dziewica z Orleanu*. Na lodowcach Szwajcaryi umysł *Tella* sięga niebios; w Italskiéj krainie mówi *Fiesko* i *Oblubienica z Messyny*, do najodleglejszych pokoleń; w Niemczech dumają dwa duże posągi: *Wielki Wallensztain* i *Zbójca Moor* i t. d.

Nie można i tego pominąć, że po największéj części we wszystkich trajedyjach Szyllerowskich rozkwita szczep katolicyzmu, że nad traiczną osnową Maryi Stuart, Oblubienicy z Messyny, Dziewicy z Orleanu, roztacza się woniejące, bogato ozdobione, gwiéździste, błogosławieństwo rozlewające niebo katolickiego kościoła, z wszystkiemi promieniami i zastępami aniołów. Kościoł ten występuje w tych duszach jako warunek ognistego działania moralnéj natury i jako niewidome zjednoczenie wolności z koniecznością.

DO PANNY J. M.

Piękna Pani! Twoje oczy
Sprawują widok tak miły,
Że gwiazd samych blask uroczy
Swém spojrzeniem by zgasiły!
Lecz chcąc wyrazić wszystkie twoje wdzięki,
Anielskie rysy Twojego oblicza —
To zdolniéjszéj nad moje wymaga już ręki:
Pędzla Rafała, pióra — Niemcewicza.

B.

SKUTKI SNU.

(Z dz. Précurseur.)

Od lat dwudziestu mieszkał Edmund Walton w Ashgrove, małej, spokojnej wiosce w zachodnim powiecie Jorkshire. Miał on w tej wiosce majętność z kilku set morgów pola składającą się, i był dla łagodnych obyczajów i poczciwości swojej od wszystkich mieszkańców wioski kochanym; sprzyjali mu równie ubodzy jak i majętni. Wszelako położenie to nie odpowiadało jego nadziei, która niegdyś tak miło schlebiała młodzieńcowi. Będąc synem predykanta, był już z lat dziecinnych przeznaczonym dla kościoła; atoli zaledwo miał lat szesnaście, nagła śmierć ojca jego zabrała mu wszystkie widoki przyszłości. Przerwanym został bieg nauk jego, a on sam umieszczonym w biurze pewnego rzecznika w Londynie. Ale Edmund, wychowany na wsi, przyzwyczajony do zupełnej wolności wiejskiego życia, poznał wkrótce jak wielką poniósł stratę, iż czyste gór powietrze i uśmiéchające się doliny zamienił na okopconą izbę i pyłem pokryte pliki papierów. Porzucił zatém miasto, wrócił na wieś i oddał się rolnictwu; a jeźli czasem chmura smutku z powodu zniweczonych nadziei przemknęła się po czole jego, wtedy rozrywał się pracowitém życiem wiejskiém, osładzał sobie przykre wspomnienia przyjemnym uśmiéchem tkliwéj żony, lub zgiełkliwą zabawą dziatek, które nad życie kochał. Odebrał on za młodu podług prostych zasad wychowanie; nauczył się cenić ludzi i rzeczy podług prawdziwéj ich wartości, a gdy z drugimi los swój porównywał, nie miał powodu na swój stan się użalać. Dni jego upływały na łonie natury, bądź na polu, bądź w lesie, a wieczory śród zatrudnień i przyjemnych rozrywek domowego pożycia. Zaiste, mało było ludzi szczęśliwszych nad Edmunda Waltona.

John Camming był jego wiernym, doświadczonym sługą i prawą ręką w zawiadowaniu gospodarstwem. Człowiek ten zostawał z dawna w służbie téj wsi dzierzawców, i jak sam powiadał, już od lat pięciudziesiąt, jako dziécię, młodzieniec i mąż, obracał skiby we wsi Ashgrove. Znali go wszyscy téj wsi mieszkańce, jednakże pomimo to, że był zawsze trzeźwy, porządny i pracowity, mieli mu zawsze do zarzucenia, że się nie chciał żenić, co przypisywano powszechnie zimnéj oględności jego charakteru. Z tém wszystkiém, dwóch lub trzech ludzi podeszłych z Ashgrove pamiętali to dobrze, że John w swéj młodości miał jednę miłostkę, która na niczém spełzła. Poczciwi ludzie ci domyślali się, że został oszukanym; to tylko było rzeczą niezawodną, że ożenienie jego z Zuzanną Wilmot, piękną w téj parafii mleczarką, rozchwiało się nie dla tego, że John przestał być trzeźwym lub pracowitym, ale że był ponurym i nie lubił żyć w towarzystwie. Wszelako John Camming, mimo swego samotnego sposobu życia i wstrętu od towarzystwa w Ashgrove, był jednak od całéj wsi bardzo poważanym. Zawsze od niego pod względem rolnictwa, jakby od jakiéj wyroczni zasiągano rady, a jeźli czasem względem dróg, lasów albo pól parafii zachodziły jakowe spory, wtedy nawet sami przełożeni gminy udawali się do jego doświadczenia, jako do ostatniego wyroku. Z panem swoim, Edmundem Waltonem, który w nim nieograniczone zaufanie pokładał, zostawał w jak najlepszéj zgodzie i był ze wszech miar godzien tego, gdyż wszystko szczęściło się pod jego przewodnictwem, żywioły i ludzie zdawali się być posłusznymi jego usiłowaniom. Prócz tego łączył ich z sobą jeszcze inny związek, który tém bardziéj zgodność tę utrwalał. Pewnego razu gdy Walton ujeżdżał dzikiego, nieukróconego rumaka, ocalił go John od przypadku z niebezpieczeństwem własnego życia. Atoli jakkolwiek John, mimo szlachetny uczynek miał charakter nieco surowy, jednakże czułym był na przyjaźń i szacunek swojego pana. John był także ulubieńcem Waltona dzieci i mieszał się chętnie do ich zabaw; najmłodsze spinały się po jego kolanach i głaskały mu twarz zasępioną, drugie zniewalały go zrywać im z wysokich drzew owoce i orzechy, a najstarszy chodził już z nim na polowanie. Słowem, cała rodzina obchodziła się z Johnem Cummingiem jak z krewnym i przyjacielem, nie zaś jak z płatnym sługą.

Dziwny, niepojęty przypadek zmienił ten pomyślny skład rzeczy. Jednéj nocy budzi się ze snu mistrys Walton, słyszy głębokie westchnienia i ciężkie stękanie swego mał-

żonka, widzi jak się rzuca po łożu i drzy na całém ciele; budzi go przelękniona; on otwiéra oczy, siada i zaczyna się opamiętywać, nareszcie przychodzi do siebie i obejrzawszy się w około lękliwym wzrokiem, rzecze głosem głęboko z piersi dobytym: »Bogu dzięka, to był tylko czczy sen!« To rzekłszy wstał z łóżka i chcąc się pozbyć tego okropnego wzruszenia, zaczął się niespokojnym krokiem przechadzać.

»Tak, byłto tylko czczy sen,« rzekł półgłosem do siebie; »ależ jak okropny sen! Tak wszystko widziałem jasno i dokładnie, jak gdyby na rzeczywistéj jawie!« Otworzył okno; była piękna noc letna, powietrze ciche i napełnione przyjemną wonią; cała natura zdawała się spoczywać w śnie spokojnym; gwiazdy błogo świéciły na niebie i listek nawet nie ruszył się na drzewie. Przyjemny zapach róż i jaźminów, które około okien swoje wieńce wiły, wléwał się do wnętrza komnaty. W serce Waltona weszło znowu uspokojenie.

Jednakże nie mógł ze wszystkiém pokonać w sobie wrażenia owéj nocy; mocno się ono wcisnęło w jego duszę. Nawet poźniéj, ani ranne świéże powietrze, ani praca dzienna, ani zabawy dzieci nie powróciły mu jego zwyczajnego humoru. Nie raz mówił sam do siebie: »Co za nierozsądek, tak się dręczyć snem marnym!« Ale nadaremnie, straszliwe obrazy ścigały go na każdém miejscu. Rzecz naturalna, iż ta niespokojność obudziła ciekawość jego małżonki; ale zawsze się wzbraniał opowiedziéć jéj okropnego snu osnowę.

»Na cóż,« mówił, »mam jeszcze twoję głowę napełniać temi strasznemi obrazami? Toby ulgi mi nie przyniosło, a tybyś niespokojną była; dla tego ani ci słowa nie powiém.«

Tak przeszedł tydzień cały. Walton trwał ciągle w postanowieniu milczenia, i zaczął już być cokolwiek weselszym, gdy oto znowu te same obrazy z temi samémi okolicznościami, i z tą samą wyrazystością, zjawiły się mu we śnie. Powtórzenie snu tego sprawiło na nim zbyt wielkie wrażenie, aby go nie miało skłonić do opowiedzenia wszystkich szczegółów przed swoją małżonką, którą już swojém zachowaniem się niespokojną uczynił.

»Dziwnym,« rzekł do niéj, »wydaje się mi sen mój przezto, iż w nim nié masz nic ciemnego lub zawiłego; wszystkie okoliczności, wszystkie przedmioty stoją mi jasno przed oczyma, a rzeczywiste zdarzenie, któremym widział na jawie, nie mogłoby wierniéj i dokładniéj zostać w mojéj pamięci.«

Śniło się mi, iż śród pięknéj, pogodnéj nocy szedłem drogą, zielonémi drzewami wysadzoną, kilka mil od Ashgrove odległą; jasny księżyc przyświécał méj podróży; aż nakoniec przyszedłem w jedno miejsce, gdzie się droga zwracała, a drzewa w tym zakręcie obszérne sklepienie tworzyły. Dąb olbrzymi stał na uboczy i rozpościérał nad murawą ogromne swe konary; o kilka kroków zaś toczył się srébrny strumień, nad którym stara, pochyłona wiérzba zielone rószczki rozwieszała. Ujęty tym powabnym widokiem, stanąłem na chwilę i zacząłem się migotnym promieniom księżyca przypatrywać, które przez gęsty liść się przekradając, uroczą złudę sprawiały; nie długo trwało, aż oto widzę dwóch mężczyzn, zbliżających się powolnym krokiem i w milczeniu. Jeden był jak majtek w niedzielne suknie ubrany; drugi nierównie roślejszy i silniejszy, mający na nogach duże, niezgrabne trzewiki, podobien był do włościanina, który od pracy z pola do domu powraca. Niebawem obadwaj zaczęli mówić do siebie, ale tak, że ja rozumiéć ich nie mogłem; jednakże po ruchu ich rąk poznałem, że bardzo żywą wiedli rozmowę. Włościanin zdawał się być mocno zagniewanym, na twarzy zaś majtka nie tyle się gniewu, ile szyderstwa malowało. Przez długą chwilę stali obadwaj pod dębem. Włościanina poruszenia coraz gwałtowniejszemi były, jakby nim coraz większa zaciekłość miotała. Lecz jakiegożto widoku nagle nie staję się świadkiem! Widzę, jak włościanin chwyta za piérś majtka, i obaliwszy go na ziemię, nożem w serce mu uderza! Chwil kilka jeszcze tarzał się po ziemi, a potém ztrętwiał i — już był trupem. Pamiętam, śniło się mi, żem ani mówić, ani się ruszyć nie mógł; zdało się mi, jak gdyby nogi moje do ziemi były przykutemi, podobnież zabójca stał osłupiały i w milczeniu patrzał na piekielne swe dzieło. — Gdy się z niewysłowioną trwogą temu okropnemu zdarzeniu przypatruję, nagle otwiéra się ziemia i znowu zamyka się nad trupem nieszczęśliwego majtka. Wszystkie ślady zbrodni zniknęły, a morderca sam jeden pozostał. Pod tę chwilę rozpromienił się księżyc nadzwyczaj żywym blaskiem i oświécił twarz zbójcy, który wprost do mnie stał obróconym; rysy twarzy jego były martwe, ale wyraźne, jak rysy posągu, a ja — poznałem w nim — Johna Cumming!«

(Dokończenie nastąpi).

— Ze Lwowa. —

Trudniący się zawodem nauczycielskim p. Władysław Iżycki wynalazł *nową metodę emblematyczną*, za pomocą któréj dziecko łatwo każdéj gramatyki nauczyć się może, czyli raczéj pojąć co jest gramatyka. Jestto właściwie obraz zmysłowy, pomagający pamięci przez wrażenie materyjalne, jakie wywiérają na wyobraźnią dziecięcia linije, figury i kolory. Główniejszą zaletą téj metody jest to, że dziecko, mając przed oczyma obraz malowany, na który się zapatruje, ma wyobrażenie *całéj budowy gramatycznéj*, t. j: wszystkich części mowy i gatunków, na które się dzielą, odmian głównych, a do tego widzi w swej wyobraźni, które części mowy przez jakie odmiany przechodzą. *S. J.*

Nasz artysta sztuki malarskiéj Aloizy Rejchan wraca z Paryża przez Drezno. Jak już donosiliśmy, kształcił się w pracowni sławnego Vernetta i miał tę zasługę, że dwa jego obrazy przyjęte były na ostatnią wystawę sztuk pięknych w Paryżu.

Na rok bieżący wyszły w języku polskim cztéry Noworoczniki; w Warszawie trzy: 1) *Pierwiosnek* (utwory samych dam mieszczący); 2) *Niezapominajki*, zebrane przez Karola Korwella; 3) *Noworocznik dla dzieci*. W Wilnie wyszedł czwarty noworocznik: *Rusałka*, wydany przez Alexandra Grozę, znanego z pięknych poezyjnych utworów. W tym ostatnym drukowany jest także, tylekrotnie z największem upodobaniem na scenie naszéj widziany, po dwakroć już na język niemiecki przełożony dramat jenialnego Józefa Korzeniowskiego, pod tytułem: *Piąty akt*.

Z Warszawy. P. F. B. Gwozdecki, obejmując od d. 1. b. m. redakcyją *Gazety Warszawskiéj* (podobnoś najstarszéj z gazet polskich) zawiadamia, że oprócz zwykłéj części politycznéj, wydawać będzie jeszcze dwa do gazety dodawane pisma: 1) *Skorowidz informacyjny wszelkich wiadomości*, i 2) pismo pięknéj literaturze poświęcone: *Tęcza*, w miejsce *Światowida*, wydawanego dawniéj przy téjże warszawskiéj gazecie. — Witalis Olechowski, tłumacz kilku dzieł scenicznych i »Podróży na Wschód« Lamartina, umarł tu d. 21. marca.

Z Pragi. Justyn Michl, znany z dzieła: »O literaturze czeskiego narzecza,« wygotował do druku w języku niemieckim: *Zasady mowy sławiańskiéj, według jéj czterech głównych narzeczy: czeskiego, polskiego, iliryjskiego i ruskiego*.

Z Serbii. W klasztorze Bazyliańskim w Kragujewaczu zakonnik jeden odkrył przypadkiem trunnę napełnioną rękopisami, obejmującemi same kroniki od czasów pierwszego wkroczenia plemion sławiańskich do r. 1721, mianowicie historyją Wołoszczyzny, Multan, Serbii, Bulgaryi, tudzież opisy krucyjat cesarstwa wschodniego, oraz wojen polskich i węgierskich przeciw Muzułmanom, wszystko w narzeczu sławiańskiém. Książę Miłosz zakupił te rękopisy za 5000 dukatów i każe je kosztem swym drukować. (Gaz. Por.)

Sprostowanie błędu historycznego. Do redaktora »Teatral. Gazety wiedeńskiéj« nadesłano z Preszburga następujące sprostowanie: Gazeta wćpana N. 39, pod napisem: »Zdarzenia dzienne,« obejmuje artykuł następujący: »Odkrycie trzech nagrobków w katedrze Neapolu, które dotychczas uważane były tylko za ozdoby kościoła, sprawiło na badaczach starożytności wielkie wrażenie. Jeden z tych nagrobków zawiera trunnę i zwłoki Karola Andegaweńskiego, drugie dwa zamykają w sobie zwłoki jego wnuka, Karola, króla węgierskiego, i jego małżonki Klemencyi, córki Rudolfa Habsburskiego. Zwłoki Rudolfa mają być jeszcze niezniszczone, a więc zapewne nabalsamowane; w trunnie małżonka jéj znaleziono płaszcz z jedwabnego adamaszku.« — Wiadomość ta, oparta jest na błędzie historycznym; ośmielam się więc następującego udzielić sprostowania: Pierwszy król węgierski z domu Andegaweńskiego był Karol Robert, mający cztéry żony: Katarzynę z Cieszyna, Maryję z Polski, Beatrykę z Lucelburga i Elżbietę z Polski, a zatém żadna z jego małżonek nie była córką Rudolfa Habsburskiego, ale matka jego, Klemencyja, była córką cesarza Rudolfa Habsburskiego, a ojcem jego był Karol Martell Andegaweński, najstarszy syn Karola Kulawego, króla sycylijskiego. Karol Robert, król węgierski, umarł w Wyszogrodzie, a w królewskim Białogrodzie w Węgrzech był pochowany, a zatem trunny znalezione w katedrze neapolitańskiéj nie mogą zawiérać w sobie zwłoków króla węgierskiego Karola Roberta, lecz sąto zapewne trunny jego rodziców, mianowicie Karola Martella, zmarłego w r. 1295 i jego matki Klemencyi, córki cesarza Rudolfa Habsburskiego.«

Dziwne odmiany strefy w jednéj porze roku. W czasie gdy u nas najostrzejsza panowała zima, podobnie jak w r. 1812, francuzkie dzienniki donoszą, iż w niektórych okolicach tamecznych zimowa pora roku była nadzwyczaj łagodna, tak dalece, iż rośliny wydobywały się z ziemi i kwitnęły. Atoli jeszcze dziwniejszemi wydają nam się pod względem szerokości nieba podobne doniesienia z gazet angielskich, zebrane w *Messenger Galignaniego*, okazujące nadzwyczajne zjawienie się wiosny w miesiącu grudniu. W West-Derby i Bellevue widziano dojrzałe poziomki, w okolicy Norton i Yorkshire zrywano pierwionski, pod Greenbank w Aberdenshire znajdowano na krzakach agrestowych kwiat i jagody, w Salisbury pojawił się w dzień Bożego Narodzenia, z podziwieniem wszystkich widzów, przecudny motyl, tak rzeźwy i polotny, jakim bywa zwykle w miesiącu czerwcu; w krzakach znaleziono świeżo uwite gniazdeczko, w którém makolągwa nie dawno zniesła jaja; a w okolicy Liwerpolu zakwitnął w święto Bożego Narodzenia prześliczny krzak różny. Podobnież pisali z Gdańska, iż w tamecznéj okolicy pod zimową porę roku, gdy u nas cisnęły mrozy, widać było śpiewające skowronki; jeden właściciel dóbr, będący na polowaniu, widział ich więcéj niż dwadzieścia, które wesoło unosząc się w powietrzu, śpiewały piosnkę poranną.

Wyspy koralowe. W angielskiém czasopisie *Globe* podaje pewien żeglarz uczony wiadomość następującą: »W Morzu Południowém okazuje się nadzwyczajne zjawisko, które naszéj Nowéj-południowéj-Walii nada jeszcze większą wagę, niźli miała dotychczas. Szósta część świata tworzy się w poblizkości, poniekąd w naszych oczach. Ciche Morze w ogromnéj przestrzeni, prawie na 50º jeogr. długości i tyleż szerokości, zasiane jest niezliczonem mnóstwem wysp powstających. Wyspy te tworzą się z mielizn koralowych, które bez ustanku z pośród niezmiernéj głębi morza się wznoszą. Skupienie się takowych mas koralowych w krótkim czasie przybiéra postać wyspy, która częścią przez ptastwo, częścią przez samo morze zapłodniona bywa różnemi roślinami. Skoro woda wyspę opuści, wtedy wzmaga się na niéj najbujniejsza roślinność, a sama wyspa stanowi w pewnéj mierze punkt środkowy, który się coraz bardziéj rozszérza. Olbrzymia siła przyrody zdaje się być niezmiernie czynną w tych nowych krainach, a jeźli czasem nie może szybko dopiąć swego zamiaru, wtedy udaje się do wulkanicznych wybuchów śród podziemnéj otchłani morza. Zacząwszy od południa Nowéj-Zelandyi, aż ku północy wysp Sandwichskich zapełnione jest całe morze podobnémi młodemi krainami, które w czasie może siedliskiem cywilizacyi będą.«

Pomnik żyjący Samarytanów. Dziennik *Temps* obejmuje artykuł następujący. »Dawna Samaryja mieści w sobie żywy pomnik najdawniejszéj starożytności.

Jestto pewna rodzina samarytańska, która od niepamiętnych czasów nigdy nie opuszczała swego siedliska i nigdy się z obcemi nie łączyła szczepami. Zdawca sprawy odwiédzał naczelnika téj rodziny, która z 300 do 400 osób złożona, dotychczas jeszcze zupełnie patryjarchalną władzą jest rządzona. Naczelnik ten utrzymuje, iż pochodzi w prostéj linii od Arona, brata Mojżesza, i że posiada księgi, pisane przez samego syna Arona.(?)

Przestroga względem ogrzewania pokoi. Lekarze oznaczają w czasie zimy rozmaite choroby, pochodzące nie od samego zimna, ale z nadzwyczajnego gorąca, które w pokojach nie zawsze doskonale miarkować umiemy. Przez ciągłe ogrzewanie pokoi wysycha wreszcie powietrze, jeżeli wodą napełnionego naczynia nie utrzymujemy ciągle na piecu, która je tym sposobem nieco odwilża, czego np: mieszkańcy w Anglii jak najstaranniéj przestrzegają. Zaniedbanie tego środka przezorności pociąga ten skutek za sobą, iż połykane suche powietrze ujmuje słabym organom, któremi oddychamy, wiele wilgoci, a nakoniec zupełnie je wysusza, czego łatwo dostrzedz można na delikatnéj budowie ciała, jakotéż na cerze rąk i twarzy. W Anglii przyjęto powszechnie za zasadę, iż jeden piec rozegrzany w pokoju przynajmniéj jeden funt wody na dzień wyparować powinien, chcąc, abyśmy ani bolu głowy, ani też ciężkości w piersiach nie doznali.

Praca i skromne życie są długiego wieku rękojmią. Franciszek Hupazobi był jednym z owych nie wielu ludzi, którzy żyli w trzech wiekach. Urodzony r. 1547 w Casale, umarł 1702 r. W 82m roku swego wieku żył jako konzul wenecki na wyspie Scio. Z pięciu żon zrodził 24 dzieci. Pijał tylko wodę, nie palił nigdy fajki, i jadał prawie samę zwierzynę i owoce. Pijał wiele soku z korzenia *skorzonery*, w wieczór prawie zupełnie nic nie jadał, kładł się za wczasu spać, wstawał rano, potém słuchał mszy ś., przechadzał się i pracował przez cały dzień aż do najpoźniejszéj starości. W 22 tomach opisał wszystko, co tylko widział sławnego w swojem życiu. Nie miał nigdy febry, nie puszczał nigdy krwie, i nie zażywał nigdy lekarstwa. W stu latach zczerniały znowu jego siwe włosy. Po upływie nawet tego okresu życia, nie raz uszedł na dzień i cztery mile drogi. Mając lat 109 utracił zęby i pił tylko same polewki. We cztery lata poźniéj wyrosły mu dwa duże zęby, i zaczął znowu jadać mięso.

Skutki nieprzezorności. Z Annonay we Francyi donoszą: Pewną dziesięcio-letnią dziewczynę, zostającą w tamecznym zakładzie naukowym, zamknięto z powodu lekkiego przewinienia do ciemnéj izby, która w poblizkości piwnicy służyła do przechowania starych gratów. Mularze, pracujący o ścianę téj izby, usłyszawszy przerażający krzyk dziewczyny, żądali od przełożonéj zakładu, aby ją wypuściła. »Niech sobie krzyczy, nie wypuszczę jéj,« rzekła przełożona, »aż się poprawi!« Mularze jednak, domyślając się jakowegoś nieszczęścia, wysadzili drzwi i zastali dziewczynę już nieżywą, a obok niéj strasznego węża. Zabiwszy go, starali się biedne dziecię przywieść do życia, lecz nadaremnie. Dotknięcie się tego potworu sprawiło tak okropne wrażenie na jéj umyśle, że z przestrachu umarła. Oburzeni taką nieludzkością mularze, oddali przełożonę w ręce sprawiedliwości, która ją ukarała dwu-letniem więzieniem.

Bóty królowéj: Mała, lecz bardzo stara wioska Ketton w Rutlandshire płaci jeszcze po dziś dzień podatek dwa szylingi *pro ocreis reginae*, na bóty dla królowéj. »Żałujemy bardzo Jéj Król. Mości,« wyraża się pewien dziennik angielski; »jeżeli żadne inne fundusze nie dostarczą kwoty na trzewiki dla naszéj królowéj, wkrótce boso chodzić będzie musiała.«

Nagrody dane Wellingtonowi. Żaden bohatér nie otrzymał tyle nagród, jak książę Wellington, co właściwie tylko jego stanowisku przypisać należy. Po bitwie pod Talawerą otrzymał pensyję 2000 funt. szterl. i z tytułami barona Douro de Wellesley i wicebrabiego de Talavera wyniesiony został na godność para. Dochód z Ciudad-Rodrygu przyniósł mu zaszczytny tytuł brabiego, a parlament głosował, aby mu dodać pensyję 2000 funt. sztrl. Po bitwie pod Salamanką i po krótkiem zajęciu Madrytu, otrzymał tytuł margrabiego, a parlament przeznaczył mu podarunek 100.000 ft. szt. W czasie zawartego pokoju w r. 1814 otrzymał tytuł księcia, potém znowu nagrodę w gotówce 300.000 ft. sztr., a prócz tego potrzebne kapitały dla pomnożenia jego rocznych dochodów 17.000 ft. sztr. (170.000 złr. w.k.). Po zwycięztwie pod Waterloo kazał mu parlament wypłacić 200.000 funt. szt., a prócz tego kosztem państwa kupić dla niego piękną posiadłość Stratfieldsay. Król niderlandzki obdarzył go rocznym dochodem 20.000 złr. i nadał mu tytuł księcia Waterloo. Uniwersytet oxfordzki mianował go doktorem prawa, a Ludwik XVIII. francuzkim marszałkiem. Z resztą i ta rzecz godna także uwagi, iż Napoleon i Wellington w tym samym roku się urodzili.

Dopiéro po śmierci żyje sława! W imionniku na cześć Szyllera, ogłoszonym i drukiem wydanym, czytamy następującą uwagi godną wiadomość, skreśloną przez wyższego radzcę medycyny pana Froriep w Wajmarze: »W r. 1805, będąc podtenczas profesorem w Halli, przejeżdżałem właśnie przez Wajmar, gdy Szyller tak niespodzianie rozstał się z tym światem, i gdy zwłoki tego wielkiego jeniuszu śród jasnéj północy z dnia 11. 12. miesiąca maja, przez kilku młodych uczonych, a między innymi przez Szczepana Schütze i Henryka Voss, tudzież innych artystów i urzędników miejskich do grobu niesione były. Jeszcze dotychczas pojąć tego nie mogę, jak się to stało, że prócz tych co nieśli trumnę, prócz mnie i jeszcze jednego mnie nieznajomego, który, jak się poźniéj dowiedziałem, był Szyllera szwagrem, pana de Wollzogen, nikt więcéj nie szedł za jego trumną!«—

List Bonapartego do Tippo-Saiba. Angielskie gazety ogłosiły list, który Bonaparte zaraz po wylądowaniu swém do Egiptu napisał do Tippo-Saiba. Znaleziono go w archiwach indyjskiego książęcia z Seryngapatnamu. List ten ciekawy jest z powodu jednego wyrażenia, które wykrywać się zdaje właściwy zamiar francuzkiéj wyprawy do Egiptu. Treść jego w dosłownem tłumaczeniu jest następująca:

Jedna i nierozdzielna rzeczpospolita
Wolność. francuzka. Równość.

Bonaparte, naczelny jenerał, do dostojnego sułtana, naszego największego przyjaciela, Tippo Saiba.

W głównéj kwaterze Kabiry d. 7. *pluviose* r. VII. jednéj i niepodzielnéj rzeczypospolitéj.

»Jesteś już zawiadomionym o przybyciu mojém na »brzegi Czerwonego Morza z liczną i niezwyciężoną ar»miją, życzącą sobie z zapałem wybawić ciebie od że»laznego jarzma angielskiego. Korzystam z téj sposobności, »donosząc ci, abyś mię zawiadomił względem Maskatu »i Mokki, równie jak względem twoich własnych stosun»ków politycznych. Proszę cię, abyś do Suez lub do »Kahiry posłał roztropnego człowieka, posiadającego »twoje zaufanie, z którymbym się w téj mierze mógł »ułożyć. Oby Wszechmocny rozszérzył twą potęgę, »a zniszczył twych nieprzyjaciół!«

(Pieczęć.) Popisano: *Bonaparte.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*